

Świat w głowie

Pierwszą swoją podróż odbyłam przez pola, piechotą. Długo nikt nie zauważył mojego zniknięcia, dlatego udało mi się pójść całkiem daleko. Przeszłam cały park, a potem — polnymi drogami, przez kukurydzę i wilgotne, pełne kaczeńców łąki, pokratkowane rowami melioracyjnymi — do samej rzeki. Zresztą rzeka była i tak wszędzie obecna na tej nizinie, przesiąkała pod poszyciem traw, oblizywała pola. Gdy wspięłam się na wał ochronny, zobaczyłam ruchomą wstęgę, drogę, która wypływała poza kadr, poza świat. I jeśli ktoś miał szczęście, mógł zobaczyć na niej barki, płaskie wielkie łodzie, które sunęły w obie strony, nie zważając na brzegi, na drzewa, na stojących na wale ludzi, traktowanych zapewne jako niestałe, niegodne uwagi punkty orientacyjne, świadków ich pełnego gracji ruchu. Marzyłam, żeby, gdy dorosnę, pracować na takiej barce, a najlepiej — stać się samą barką.

To nie była wielka rzeka, to zaledwie Odra; ale i ja wtedy byłam mała. Posiadała swoje miejsce w hierarchii rzek, co sprawdziłam potem na mapach, dość drugorzędne, ale zauważalne, wicehrabina z prowincji na dworze królowej Amazonki. Mnie jednak zupełnie wystarczała, wydawała się ogromna. Płynęła jak chciała, od dawna nieregulowana, skłonna do wylewów, nieobliczalna. W niektórych miejscach przy brzegu zaczepiała o jakieś podwodne przeszkody i wtedy powstawały w wodzie wiry. Przeplýwała, defilowała, zajęta swoimi celami ukrytymi za horyzontem, gdzieś daleko na północy. Nie było można zawiesić na niej wzroku, bo wyciągała go za horyzont,

aż traciło się równowagę.

Nie zwracała na mnie uwagi, zajęta sobą, zmienna, wędrująca woda, do której nigdy nie można wejść dwa razy, jak się później dowiedziałam.

Co roku pobierała słońną opłatę za noszenie na grzbiecie barek — bo i co roku ktoś się w niej topił, a to dziecko przy kąpeli w upalne dni lata, a to jakiś pijany, który dziwnym trafem zatoczył się na moście i pomimo barierki wpadł do wody.

Topielców zawsze poszukiwano długo i z wielkim hałasem, co trzymało całą okolicę w napięciu. Organizowano nurków i wojskowe motorówki. Według podsłuchanych relacji dorosłych znajdowane ciała były spuchnięte i blade — woda wypłukała z nich wszelkie życie, tak zamazała rysy twarzy, że bliscy mieli kłopot z rozpoznaniem zwłok.

Stojąc na przeciwpowodziowym wale, wpatrzona w nurt, zdałam sobie sprawę, że — mimo wszelkich niebezpieczeństw — zawsze lepsze będzie to, co jest w ruchu, niż to, co w spoczynku; że szlachetniejsza będzie zmiana niż stałość; że znieruchomiałe musi ulec rozpadowi, degeneracji i obrócić się w perzynę, ruchome zaś — będzie trwało nawet wiecznie. Odtąd rzeka stała się igłą wbitą w mój bezpieczny stały krajobraz parku, inspektów, gdzie wstydliwymi rządkiem wschodziły warzywa, i chodnika z betonowych płyt, na których grało się w klasy. Przekłówała go na wylot, wyznaczała wertykalnie trzeci wymiar; robiła w nim dziurę, i dziecięcy świat okazywał się zaledwie gumową zabawką, z której z sykiem uchodziło powietrze.

Moi rodzice nie byli do końca plemieniem osiadłym. Wiele razy przeprowadzali się z miejsca na miejsce,

aż w końcu zatrzymali się na dłużej w prowincjonalnej szkole, daleko od porządnej drogi i kolejowej stacji. Podróżą stawało się już samo wyjście za miedzę, wyprawa do miasteczka. Zakupy, składanie papierów w urzędzie gminy, zawsze ten sam fryzjer na rynku przy ratuszu, w tym samym fartuchu, pranym i chlorowanym bez skutku, bo farby do włosów klientek zostawiały na nim kaligraficzne plamy, chińskie znaki. Mama farbowała włosy, a ojciec czekał na nią w kawiarni „Nowa”, przy jednym z dwóch stolików wystawionych na zewnątrz. Czytał lokalną gazetę, w której zawsze najciekawsza była rubryka kryminalna z doniesieniami o obrabowaniu piwnic z powideł i korniszonów.

Te ich turystyczne wakacyjne wyjazdy, strachliwe, skodą zapakowaną pod sufit. Długo przygotowywane, planowane wieczorami na przedwiośniu, gdy ledwie zszedł śnieg, lecz ziemia jeszcze nie otrzeźwiała; trzeba było czekać, aż odda w końcu swoje ciało pługom i motyczkom, aż da się zapłodnić i potem już zajmie im czas od rana do wieczora.

Należeli do pokolenia, które jeździło z przyczepami kempingowymi, ciągnąc za sobą namiastkę domu. Kuchenkę gazową, składane stoliki i krzesła. Plastikowy sznur do rozwieszania prania na postojach i drewniane klamerki. Ceraty na stół, nieprzemakalne. Turystyczny komplet do pikniku — kolorowe plastikowe talerze, sztucce, solniczki i kieliszki. Ojciec kupił gdzieś w drodze, na jakichś pchlich targach, które z matką szczególnie lubili odwiedzać (gdy nie fotografowali się akurat pod kościołami i pomnikami), wojskowy czajnik — miedziany instrument, naczynie z tubą w środku, do której wkładało

się garść patyków i zapalało. I choć na kempingach można było korzystać z elektryczności, gotował wodę w tym imbryku, dymiąc i bałaganiąc. Klęczał nad gorącym naczyniem i z dumą wsłuchiwał się w bulgot wrzątku, którym zalewał torebki z herbatą — prawdziwy nomada.

Rozsiadali się w oznaczonych miejscach, na polach kempingowych, zawsze w towarzystwie takich samych jak oni, ucinając sobie z sąsiadami pogawędki nad skarpetami suszącymi się na linkach namiotów. Ustalano trasy podróży z przewodnikiem, starannie zaznaczając atrakcje. Do południa kąpiel w morzu albo w jeziorze, a po południu wyprawa do starożytności zabytków miast zakończona kolacją — najczęściej były to weki: gulasz, kotlety mielone, klopsy w sosie pomidorowym. Trzeba było tylko ugotować makaron albo ryż. Wieczne oszczędzanie pieniędzy, złoty jest słaby, to grosz świata. Poszukiwanie miejsc, gdzie można się podłączyć do prądu, i potem niechętnie pakowanie się, żeby ruszyć dalej, zawsze jednak w metafizycznej orbicie domu. Nie byli prawdziwymi podróżnikami, bo wyjeżdżali po to, żeby wrócić. A wracali z ulgą, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Wracali, żeby zebrać z komody stosy listów i rachunków. Zrobić wielkie pranie. Ziewających ukradkiem przyjaciół zanudzić na śmierć pokazywaniem zdjęć. To my w Carcassonne. A tu żona, w tle Akropol. Potem cały rok wiedli życie osiadłe, to dziwne życie, kiedy rankiem wraca się do tego, co zostawiło się wieczorem, gdzie ubranie przesiąka zapachem własnego mieszkania, a stopy niestrudzenie wydeptują ścieżkę na dywanie.

To nie dla mnie. Widocznie brakowało mi jakiegoś

geny, który sprawia, że gdy tylko przystanie się na dłużej w jakimś miejscu, zaraz zapuszcza się korzenie. Wiele razy próbowałam, ale moje korzenie zawsze były płytkie i wywracał mnie byle jaki podmuch wiatru. Nie umiałam kiełkować, zostałam pozbawiona tej roślinnej zdolności. Nie ciągnę soków z ziemi, jestem anty-Anteuszem. Moja energia bierze się z ruchu — z trzęsienia autobusów, z warkotu samolotów, z kołysania promów i pociągów. Jestem poręczna, nieduża i dobrze spakowana. Mam mały żołądek, niewymagający, mocne płuca, zwarty brzuch i silne mięśnie ramion. Nie biorę żadnych leków, nie noszę okularów, nie używam hormonów. Strzygę włosy maszynką, raz na trzy miesiące, prawie nie stosuję kosmetyków. Mam zdrowe zęby, może niezbyt równe, ale całe, tylko jedną starą plombę, bodaj w dolnej lewej szóstce. Wątrobę mam w normie. Trzustkę — w normie. Nerkę prawą i lewą w wyśmienitym stanie. Moja aorta brzuszna jest w normie. Pęcherz moczowy — prawidłowy. Hemoglobina — 12,7. Leukocyty — 4,5. Hematokryt — 41,6. Płytki krwi — 228. Cholesterol — 204. Kreatynina — 1,0. Bilirubina 4,2 i tak dalej. Moje IQ — jeśli się w to wierzy — 121; wystarczy. Mam szczególnie rozwiniętą wyobraźnię przestrzenną, prawie ejdetyczną, natomiast marną lateralizację. Profil osobowości niestały, chyba niegodny zaufania. Wiek — psychologiczny. Płeć — gramatyczna. Książki kupuję raczej w miękkich okładkach, żeby bez żalu móc je zostawić na peronie, dla innych oczu. Niczego nie kolekcjonuję. Skończyłam studia, ale w gruncie rzeczy nie nauczyłam się żadnego zawodu, czego bardzo żałuję;

mój pradziadek był tkaczem, bieleł utkane płótno, rozkładając je na stoku, wystawiając na palące promienie słońca. Bardzo by mi odpowiadało przeplatanie osnowy i wątku, nie istnieją jednak przenośne krosna, tkactwo to sztuka ludów osiadłych. W podróży robię na drutach. Niestety ostatnio niektóre linie lotnicze zabraniają zabierania na pokład drutów i szydełek. Nie nauczyłam się, jak mówię, żadnego fachu, a jednak wbrew temu, co zawsze powtarzali moi rodzice, udało mi się przeżyć, mając się po drodze różnych prac i wcale nie staczając na dno. Gdy moi rodzice wrócili do miasta po dwudziestoletnim romantycznym eksperymencie, gdy zmęczyły ich susze i mrozy, zdrowa żywność, która całe zimy chorowała w piwnicy, wełna z własnych owiec starannie napychana w przepastne gardła jaśków i kołder, dostałam od nich trochę pieniędzy i po raz pierwszy ruszyłam w drogę. Pracowałam dorywczo tam, gdzie dotarłam. W międzynarodowej manufakturze na przedmieściach wielkiej metropolii skręcałam anteny do ekskluzywnych jachtów. Było tam wielu takich jak ja. Zatrudniano nas na czarno, bez pytania o pochodzenie i plany na przyszłość. W piątek dostawaliśmy wypłatę, a komu nie odpowiadało, nie pojawiał się już w poniedziałek. Byli tu przyszli studenci w przerwie między maturą a egzaminami na studia. Imigranci wciąż w drodze do idealnego, sprawiedliwego kraju gdzieś na Zachodzie, gdzie ludzie są siostrami i braćmi, a silne państwo pełni rolę opiekuńczego rodzica; uciekinierzy czmychający przed rodzinami — żonami, mężami, rodzicami; nieszczęśliwie zakochani, rozkojarzeni, melancholijni i wiecznie zmarznięci. Ci, których ścigało prawo,

bo nie potrafili spłacić zaciągniętych kredytów.
Włóczykije, wagabundzi. Wariaci, których
po kolejnym nawrocie choroby zabierano do szpitala,
skąd — na mocy niejasnych przepisów — deportowano
do kraju pochodzenia.

Tylko pewien Hindus pracował tu na stałe, od lat,
ale prawdę mówiąc, jego sytuacja wcale nie różniła
się od naszej. Nie miał ani ubezpieczenia, ani żadnego
urlopu. Pracował w milczeniu, cierpliwie, w równomiernym
tempie. Nigdy się nie spóźniał, nigdy nie znajdował powodów
do zwolnień. Namówiłam kilka osób, żeby założyć związek
zawodowy — były to czasy Solidarności —
choćby tylko dla niego, ale nie chciał.

Poruszony moim zainteresowaniem, częstował
mnie codziennie ostrym curry, które przynosił
w menażkach. Dziś nawet nie pamiętam, jak miał
na imię.

Byłam kelnerką, pokojówką w ekskluzywnym
hotelu i nianią. Sprzedawałam książki, sprzedawałam
bilety. W pewnym małym teatrze przez jeden
sezon zatrudniłam się jako garderobiana i w ten sposób
przetrwalam długą zimę wśród pluszowych kulis,
ciężkich kostiumów, atłasowych peleryn i peruk.
Gdy skończyłam studia, pracowałam też jako pedagog,
konsultant odwykowy, a także, ostatnio — w bibliotece.
Kiedy tylko udało mi się zarobić jakieś pieniądze,
ruszałam w drogę.

(Olga Tokarczuk *Bieguni* 2008)